

Exodus

Biała szosa, kocie łby pokryte unoszącym się spod nóg pyłem. Na tej szosie Mama i Pani Stasia, dźwigające wielkie toboły zawierające to, co się im wydało najpotrzebniejsze. A poza tym moja siostra i ja, z trudem już powłóczący nogami. I jeszcze wąż kobiet, starych mężczyzn i dzieci. I wszyscy popędzani przez żołnierzy wermachtu, stanowiących eskortę tej kolumny wystraszonych i umęczonych ludzi. Dokąd nas prowadzą? Nikt nie wie. A jeśli nawet wie, to do mnie ta wiedza nie dociera. Nagle słyszę huk wystrzałów. Przez pole kapusty, w stronę zabudowań mijanej wsi biegnie człowiek. Biegnie, pada, znów się podnosi a Niemiec stoi rozkraczony na skraju szosy i strzela za nim raz po raz. Nikt go jednak nie goni i uciekinier znika między opłotkami.

Bielany były ziemią niczyją. Nie było tu powstańców ani Niemców. Czasem przejeżdżały niemieckie wojskowe ciężarówki. Mieszkaliśmy na Zdobyczy Robotniczej przy Kasprowicza w mieszkaniu wynajmowanym od folksdojca nazwiskiem Kessel. Bardziej niż on gorliwa była jego tleniona na aryjskiego wampa żona. „Mareczku, a co robią te koleżanki i i koledzy odwiedzający Twoją siostrę?” W naszym mieszkaniu odbywały się co jakiś czas lekcje tajnego gimnazjum ale ja byłem przygotowany na takie pytanie i odpowiadam, że szykują przedstawienie na jakąś okazję. W ogóle byliśmy wychowani w duchu konspiracji, wiedzieliśmy, że Niemcy to zagrożenie dla nas i naszych rodziców. Ale to już stare dzieje. Teraz siedzieliśmy nocami w piwnicach w naiwnej wierze, że jednopiętrowy budynek ochroni nas przed zabłąkaną bombą lub szafą.

Moje dzieci trzeba było odprowadzać do przedszkola nawet, gdy znajdowało się po drugiej stronie ulicy. O najmłodszych wnuczkach nie wspomnę, bo bez samochodu nijak się ich nie wyprawi. Ja do swojego przedszkola chodziłem sam i sam z niego wracałem a było całkiem daleko. Tylko raz zaprowadziła mnie tam Pani Stasia. No i pewnego dnia niespodzianka. Przed wyjściem z przedszkola czeka na mnie mój serdeczny przyjaciel Staś. Przez chwilę kontemplujemy stojącą przy chodniku dorożkę aż wreszcie dryndziarz zaprasza: Czy kawalerowie pozwolą? Kawalerowie oczywiście pozwolili i dorożka rusza do postoju naprzeciwko CIWF-u, mieszczącego w tym czasie koszary Luftwaffe. Przed bramą stoi pasiasta budka i wartownik z bagnetem na karabinie a wokół oplecione drutem kolczastym kozły hiszpańskie. Moja siostra powiedziała mi kiedyś, że oni to nawet porządnego płotu zrobić nie umieją. Po namyśle postanowiliśmy kontynuować tak niespodziewanie rozpoczętą przygodę. Zamiast wracać do domu ruszyliśmy do lasu bielańskiego. W przeciwieństwie do rachitycznych sosenek porastających park, w lasu rosną wielkie liściaste drzewa na które nawet trudno bez zawrotu głowy popatrzeć. Dotarliśmy na wysoki brzeg Wisły na którym siedzą ludzie z wędkami. Urządziliśmy zawody który z nas dalej nasika i po wyczerpaniu amunicji zaczęliśmy odwrót. I nagle na spotkanie przyjeżdża na rowerze Jędrzek, starszy brat Stasia i robi nam wściekłą awanturę. Za co? Przecież wcale się nie zgubiliśmy i już zaczęliśmy powrót do domu. Okazuje się jednak, że już cały dom jest zaalarmowany i rozpoczęły się powszechne poszukiwania. Zupełnie nie czuliśmy się winni żadnego przestępstwa.

Pewnej nocy pozwolono mi wyjść do ogródka i zobaczyć niebo nad Warszawą. Sylwetki domów na tle rozlewającej się na horyzoncie łuny, pełnące po niebie z nieopisanym zgrzytem w stronę miasta ogniki nebelwerferów i różnokolorowe węże pocisków artylerii przeciwlotniczej próbujące dopaść lecące nad miastem samoloty. Ale to tylko chwila, bo zaraz dorośli znów zapędzają mnie do piwnicy.

W naszym mieszkaniu często mieszkali jacyś obcy ludzie. Raz nawet był to młody podporucznik usiłujący się z nami fraternizować za pomocą czekolady. Czasem byli zupełnie obcy. Raz był to ktoś do złudzenia przypominający mojego szczególnie zaprzyjaźnionego wujka, który

zaopatrzone w okulary i wąsy udawał że jest kimś innym. Już nic mnie nie dziwiło. Pewnego dnia przyszło zarządzenie, że mamy opuścić nasze mieszkania i stawić się w wyznaczonym miejscu. Zamiast tam znaleźliśmy się w stojącej w ogródku willi, w której mieszkał jeden z tych naszych krótkotrwałych lokatorów. Opowiadano, jak to udało się upić Ukraińca, który z bańką benzyny miał ten dom podpalić. A dom był pełen wielkich wolier zamieszkałych przez kolorowe i krzykliwe ptactwo. Po kilku dniach wróciliśmy do swojego domu w którym wszyscy mieszkańcy byli nadal obecni.

Ta szosa nie ma końca. Ludzie coraz wolniej powłóczą nogami. Konwojenci, chyba równie umęczeni pokrzykują weiter! weiter! albo dali! dali!. Kobiety dopadają jednego z nich, który wygadał się, że mówi po polsku. „Dzieci nie mają już siły iść tyle czasu”, Najpierw się odszczekuje, że gdy dzieci cały dzień latają po polu, to sił im nie brakuje ale w końcu ucieka w inny koniec kolumny. Wzdłuż szosy, podnosząc długo nie opadający obłok kurzu przejeżdżają dwa pomalowane w żółto – brązowe plamy czołgi. Długo słyhać warkot silników pomieszany z metalicznymi dźwiękami gaśiennic. Mijamy gacie. Co za nazwa? Później dowiedziałem się, że wieś nazywa się Gać i słowo to ma zupełnie inne znaczenie. Kobiety wychodzą z opłotków i podają ludziom w kolumnie butelki z wodą. Konwojenci odpędzają je leniwie i bez przekonania. Znowu wokół otwarte, wypalone słońcem pola i łąki. Powietrze wypełnia narastający pomruk a na niebie pojawiają się liczne białe smugi powoli pełzające w stronę Warszawy. Czasem na początku smugi błyska refleks słońca. I nagle całe niebo wypełnia się różnokolorowymi plamami spadochronów. Pomruk silników cichnie w oddali a spadochrony wolno opadają ku ziemi. To wydarzenie pozwala mi dzisiaj określić datę naszego exodusu -19 września 1944 roku.

Pewnego dnia, poganiani chrapliwym „Heraus! wyszliśmy do wypielegnowanego ogródka pana Kessela. Już nie był wypielegnowany a na zawsze wygrabionych alejkach kręcili się żołnierze. Ustawili nas pod ścianą naprzeciwko ustawionego na wysokim trójnogu karabinu maszynowego, z którego zwisała połyskująca mosiądzem taśma z nabojami. Nie kojarzyło mi się to z zagrożeniem i raczej fascynował mnie widok tego karabinu widzianego z tak bliska. Zadziwił mnie widok okazałej poszewki na poduszkę ozdabiającej szczytowe okienko na strychu. Po dłuższym czasie pozwolili nam wrócić do domu. Ale tym razem rozkaz opuszczenia domu i stawienia się na miejscu zbiórki był bezwzględny. To miejsce jest mi dobrze znane – to park należący do „Naszego Domu”, sierocińca prowadzonego kiedyś przez Korczaka w którym mieściło się również moje przedszkole. Dowiedziałem się później, że mieścił się tam powstańczy szpital w którym obok naszych leżeli również niemieccy ranni. Najpierw koczowaliśmy na przyniesionych przez Mamę i Panią Stasię tobołkach z wyniesionym z mieszkania dobytkiem kryjąc się przed słońcem w cieniu drzew. Później Niemcy usiłują ustawić kolumnę do wymarszu. Idzie im to niesporo i trwa bez końca. Po wielokroć przeliczali zebranych w kolumnie i wreszcie zmęczonych wielogodzinnym oczekiwaniem wyprowadzili za bramę.

Znowu szosa oświetlona tym razem jaskrawo świecącym księżycem. Wyraźnie przeszedłem kawał drogi śpiąc. Dziwne, bo na drodze nikogo poza nami nie ma. Szosa jest pusta. Mijamy samotne gospodarstwo otoczone szczelnie wysokim płotem z desek. Mama komenderuje „uciekamy!”. Pierwsze kroki do wolności kończą się zbiorowym upadkiem bo wzdłuż szosy ciągną się po ziemi przewody telefoniczne. Nic to – szybko szybko schować się po drugiej stronie gospodarstwa. Ale tam stoi już spory tłumek i nerwowym szeptem odpędzają nas „Bo nas tu wszystkich wyłapią” Cóż robić. Od szosy, w stronę wsi biegnie przez wysuszone łąki wydeptana ścieżka więc tą ścieżką w stronę majaczącej w dali wsi. Za nami pozostaje oświetlona księżycem biała wstęga szosy i w dali początek wlokącej się kolumny. Pierwsze zabudowania i nieśmiało pukanie do okna. Czy we wsi są Niemcy? Niemców nie ma tylko na drugim końcu wsi kwaterują

Ukraińcy. Szybko wprowadzają nas po chwiejnym rusztowaniu na wypełniony sianem stryszek i spać, spać!

Wieś znałem tylko z wizyt u mieszkającego w okolicy Sandomierza Wujka leśniczego. Podróżowało się tam bocznokołowym parostatkami ciągnącym za sobą ogon czarnego dymu z wysokiego i cienkiego komina. Podróż musiała trwać kilka dni bo pamiętam spanie w kabinie do której schodziło się po stromych schodach. A tam na miejscu leśniczówka z domowymi zwierzętami i wysokopiennym, sosnowym lasem wokół.

Tutaj wieś jest inna. Ciasno zabudowana, pełna dziwnych szop i przybudówek. Z poddasza przenosimy się do innego gospodarstwa, do szopy w której na sianie biwakują już inne rodziny wypędzonych z Warszawy. Pewnej nocy do szopy wdziera się grupa pijanych żołnierzy i usiłuje wyciągnąć moją starszą siostrę. Wśród nich młody chłopak z dystynkcjami podporucznika. To kwaterujący we wsi Ukraińcy. Mama w przypiływie rozpaczy rzuca się do pijanego chłopaka i po rosyjsku (w końcu zaczynała edukację w rosyjskiej szkole) woła do niego: Kak Wy, oficer dozwalajecie na takojie biezobrazjje! O dziwo, rosyjski język skutkuje i chłopak wypędza swoich pijanych towarzyszy. Mama znika na cały dzień i następnego dnia wyruszamy razem do Ożarowa, gdzie mieszka rodzina pracującej dla nas pani, obsługująca maszynę pończosniczą.

Ojciec mieszkał w śródmieściu i tylko czasem nas odwiedzał. Mama pracowała jako nauczycielka w szkole, mieszczącej się na Pradze, więc codziennie odbywała długą podróż kilkoma tramwajami. Ojciec zdobył skądś ręczną maszynę pończosniczą i dostarczał do niej przędzę. Wolno mi było bawić się tekturowymi rurkami na których nawinięta była przędza pod warunkiem, że z tych rurek zeszkrobano uprzednio nadruk wskazujący na pochodzenie przędzy. Ta ostrożność podyktowana była znaną dociekliwością żony gospodarza, Pani Kesselowej.

Docieramy do Ożarowa. Ceglany, nie dokończony domek w którym lokujemy się w jednym pokoju. Bawię się z synami gospodarza w żołnierzy. Uzbrojeni w deski imitujące karabiny przekrzykujemy się w naszej wersji języka niemieckiego. Moja siostra nas ruga: Jeśli już musicie się bawić w żołnierzy to bawcie się w polskich! W polskich? Dla mnie słowo żołnierz było synonimem Niemca. Istnieją jacyś polscy żołnierze? Mama z Panią Stasią kupują chleb i roznoszą po okolicznych wsiach. Z tego żyjemy. Z tego i wasserzupiek rozdawanych w pobliżu przez lokalną placówkę R.G.O. Chodzimy tam codziennie z siostrą. Pewnego dnia, starsza córka gospodarzy częstuje nas gulaszem. Gęstym makaronem z sosem w którym gdzieś pojawiają się kawałki mięsa. Skąd? Od Niemca. Idę z nią w odwiedziny do znajdującej się w pobliżu bazy samochodowej. Spotykamy tam wysokiego blondyna w wyszmelcowanym kombinezonie i wojskowej furazerce z trójkolorowym bączkiem nad czołem. Rozmawia wesoło i przyjaźnie z dziewczyną, Niemiec mówiący po polsku i taki przyjazny?

Nie spotkałem się dotychczas z jakąś wrogością ze strony Niemców. O stacjonującym w naszym mieszkaniu podporuczniku już mówiłem. Próba fraternizacji z jego strony skończyła się nieszczęśliwie bo Mama, wróciwszy do domu wkroczyła do zajmowanego przez niego pokoju i groźnym głosem powiedziała: Dzieci wyjść! Dzieci pokornie wyszły chyłkiem przetykając resztki wrogiej czekolady a biedny Austriak miał minę zbitego psa. Inna tego rodzaju przygoda zdarzyła się w tramwaju jadącym z Bielan do śródmieścia. W motorowym wagonie dwie pierwsze ławki były zawsze oddzielone od reszty łańcuchem i zastrzeżone wyłącznie dla Niemców. Pewnego razu, widać wolnych miejsc dla Niemców nie wystarczyło, bo nagle naprzeciw mnie pojawiło się dwóch żołnierzy ubranych w szarozielone szynele. Siedzę ze spuszczoną głową i widzę, że ręka w szarozielonym rękawie grzebie dłuższą chwilę w szarozielonej kieszeni i po chwili podtyka mi pod nos cukierek. Posłusznie wziąłem ten cukierek, choć specjalnie mi na tych buraczanych słodyczach

nie zależało a na dodatek Mama mówi głośnym szeptem; Jeden Niemiec daje Ci cukierka a drugi zabije Mamusie! Cukierek parzy mnie w rękę. Po chwili żołnierze wysiadają a naprzeciw mnie siada inna Mamusia z innym chłopczykiem, Wciskam mu ten przeklęty cukierek w rączkę. Jego Mamusia: Podziękuj chłopczykowi. Więc chłopczyk posłusznie dziękuje a ja czuje się jak podły oszust, że taką minę mu do ręki wcisnąłem.

Domek leży tuż przy szosie prowadzącej do Poznania. Pewnego dnia pojawia się na niej długa kolumna obdartych i brudnych mężczyzn. Powstanie upadło i powstańcy idą do niewoli. Mama biegnie wzdłuż tej kolumny i dopytuje się o tego tajemniczego wujka, swojego najmłodszego brata. Nikt nic nie wie. Po drugiej stronie zabudowań przebiega linia kolejowa do której chodzimy od czasu do czasu podglądać przejeżdżające pociągi towarowe. Pewnego dnia od strony Warszawy jedzie długi wąż platform załadowanych żółto-czerwonymi tramwajami. Przeważnie mocno pokiereszowanymi. Narasta w nas wściekłość na Niemców rabujących z Warszawy nawet tramwaje.

Na Bielanych była pętla tramwajowa (jest tam nadal) do której szło się alejkami przez park. W odróżnieniu od leżącego pomiędzy tę pętlą a Wisłą starego i potężnego lasu park był piaszczystym obszarem obsadzonym rachitycznymi sosenkami. Pewnego dnia wracaliśmy tramwajem ze śródmieścia i nagle huk wystrzału i gwałtowne hamowanie. Wszyscy szybko opuszczają wagon i tylko kątem oka widzę leżącego na przednim pomoście człowieka. W domu dowiedziałem się, że to konspiratorzy zastrzelili konfidenta. Konspiratorzy to wiedziałem kto to ale konfident? Przyjąłem bez wyjaśnień, że to ktoś nam wrogi. Szyby w tramwajach były zamalowane granatową farbą ale jak stawałem w przejściu między ławkami zawsze się jakaś szpara pozwalająca wyglądać znalazła. I oto, pewnego razu tramwaj jadący znajoma trasą znalazł się w otoczeniu wysokich, ceglanych murów zwieńczonych potłuczonym szkłem. To były mury getta. A później, patrząc z Bielanych w kierunku śródmieścia widać było wielki słup dymu a wiatr przynosił zwęglone papiery. Od tej pory wyprawa do śródmieścia stała się bardziej skomplikowana. Najpierw, jak dotychczas tramwaj. Potem trzeba było wspiąć się po drabinie do krytej plandeką i wyposażonej w ławki konnej platformy, która omijała płonące getto. Wreszcie znowu kolejny tramwaj. Teraz wyprawy do śródmieścia stały się rzadsze.

Dom opuściliśmy w połowie gorącego września a teraz zbliża się jesień. Mama z Panią Stasią przekradają się kilkakrotnie do naszego mieszkania i przynoszą stamtąd niezbędne do przeżycia zimy rzeczy. Mieszkanie jest rozszabrowane a zamurowana piwnica rozbita, ale zbyt wiele na plecach wynieść się i tak nie da. Mama przynosi mi nawet moje ukochane klocki. Drewniane deseczki różnej długości zaopatrzone w znormalizowane nacięcia pozwalające na budowanie z nich przeróżnych konstrukcji. Taki drewniany pierwowzór Lego. Okazuje się, że Babcia Bronia, Matka Ojca mieszka gdzieś w Leśnej Podkowie, do której można dojechać kolejką EKD. Jeździmy tam kilkakrotnie. Mama próbuje dowiedzieć się czegoś o losach ojca ale żadnych wiadomości nie ma.

Wiele lat później dowiedziałem się o okolicznościach śmierci Ojca. Niemcy wyparli powstańców z okolic placu Za Żelazną Bramą i wypędzali mieszkańców z kolejnych budynków. Kobiety próbowały zasłonić sobą Ojca ale SSman wypatrzył go i wywołał z tłumu. Ojciec kulał ponieważ cierpiał na gruźlicę kości i używał laski. Papiere! Warknął. Ojciec podał ausweiss. Dort! Zakomenderował Niemiec wskazując w bok od zgromadzonych kobiet. Ojciec ruszył we wskazanym kierunku a SSman najpierw podał podany mu dokument a następnie wyjął pistolet i strzelił Ojcu w tył głowy.

Słowa Mamy o Niemcach o mało się nie sprawdziły. Pewnego dnia nie wróciła z pracy. Po

nerwowych poszukiwaniach okazało się że Niemcy wygarnęli Ją z tramwaju podczas ulicznej łapanki i wysłali do Majdanka. Próbowano mnie uspakajać kłamstewkami ale dramatyczny nastrój w domu nie pozwalał mi w nie uwierzyć. Ludzie stłoczeni w bydłych wagonach podawali sobie wyłamane z okien sople które musiały wystarczyć za napój. Mama niechętnie opowiadała o swoich przeżyciach na Majdanku. Zapamiętałem opowieść o małym chłopcu który ku uciechu wachmanów bił bezlitośnie grubym kijem więźniów. Ojciec szukał kontaktów z ludźmi, którzy za pieniądze obiecywali wydostanie Mamy z obozu. Nie wiem, czy te pieniądze odegrały jakąkolwiek rolę ale na szczęście Niemcy, chcąc odsunąć od siebie międzynarodowe potępienie za znęcanie się nad więźniami, zaprosili do Majdanka delegację Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Przedtem jednak zwolnili tych więźniów, wobec których nie było żadnych oskarżeń. W ten sposób Mama opuściła Majdanek. Obóz znajdował się wówczas daleko za miastem. Kiedy grupa umęczonych kobiet szła w kierunku lubelskiego dworca, mieszkańcy dopytywali się: Kim jesteście/ Skąd idziecie? Majdanek? Co to jest Majdanek? .

Okazuje się, że istnieje szansa dostania się do wujka Ryśka, mieszkającego na wsio koło Buska Zdroju. Pociągi do Kielc i Krakowa nie kursują z powodu bliskości frontu i bombardowań przez sowieckie samoloty, ale czasem jeżdżą pociągi do Katowic przez Miechów a stamtąd można się do tego Szańca dostać. Najpierw udaje się zdobyć wielki wiklinowy kufer w którym można pomieścić cały nasz ocalały dobytek. Potem trzeba dotrzeć do Pruszkowa skąd te pociągi od czasu do czasu odjeżdżają. Wreszcie udaje się nadać ten kufer na bagaż a nas ulokować w nieprzytomnie zatłoczonym przedziale. Po długim oczekiwaniu pociąg rusza. Moja siostra Ewa lokuje się wygodnie na półce co jednak wywołuje gwałtowne protesty właścicieli ulokowanych tam bagaży, szczególnie właściciela czajnika do którego Ewa wcisnęła nogę.

Czasem jeździliśmy elektrycznym pociągiem do Otwocka. Stałem z Ewą na peronie dworca wschodniego a po przyległym torze powoli przetaczał się towarowy pociąg wiozący na platformach czołgi. Popatrz, to są Tygrysy, powiedziała. Zapamiętałem rząd małych kół jezdnych i drugi podtrzymujących gaśiennice stąd wiem dzisiaj, że nie były to Tygrysy a Ewa po latach przyznała, że Tygrys był jedyną nazwą jaka kojarzyła jej się wówczas z niemieckim czołgiem.

Pociąg pełnie powoli po wysokim nasypie a w dole widzę koła wykolejonych towarowych wagonów. To partyzanci, ktoś mówi. Wreszcie po południu pociąg wtacza się na stację w Miechowie i z trudem wydostajemy się z wagonu. Mama z Panią Stasią nerwowo biegają by z wagonu bagażowego wydostać nasz skarb zawarty w wiklinowym kufrze. Następne bieganie, by kupić bilety na wąskotorową kolejkę jadącą z Miechowa do Pińczowa i nadać nasz kufer na bagaż. Wreszcie późnym wieczorem pociąg rusza. Tłok niesamowity. Do tego zaduch, bo okna, w których brakuje szyb są szczelnie zasłonięte tekturą. Przez szpary widzę smugę iskier wlokącą się z komina wzdłuż pociągu. Pociąg wlecze się ospale i nagle staje. W zapadłej ciszy słychać terkot lecącego nad pociągiem kukuruźnika. Kolejarze usłyszawszy go natychmiast zalali wodą palenisko by lotnik nie wypatrzył pociągu. Teraz pociąg stoi do rana i dopiero rankiem, po przyjeździe z Pińczowa drugiego parowozu, ruszamy dalej. Wreszcie docieramy do końcowej stacji gdzie czeka już na nas wujek Rysiek z zaprzężonym w konika wiejskim wozem wyposażonym w półkoszki i wymoszczonym sianem.

Wóz toczy się leniwie polnymi drogami, piach przesypuje się między szprychami a koń maszeruje spokojnie i regularnie odpędza ogonem muchy. Ciepło i sen morzy. Mijamy jakieś prace ziemne. Kilku żołnierzy pilnuje pracy, kilka konnych wozów wozi z miejsca na miejsce wykopany piach. Wujek się śmieje, że spędzeni do roboty chłopci specjalnie wyposażyli swoje wozy w nieszczelne deski dzięki czemu piach wysypuje się po drodze i koniom lżej ciągnąć a robota dla Niemców posuwa się wolniej. Mijamy kilka wsi i wreszcie wjeżdżamy do Szańca. Stodoły kryte

słomą i zbudowane po części z tłuczonego kamienia. Wjeżdżamy na podwórze obejścia w centrum wsi a tam radosne powitanie. Od chłopców dostaje w prezencie wystrugany z deski karabin z którego jestem bardzo dumny. Zamieszanie z rozlokowaniem się w domu. Trochę ciasno, bo połowę domku zajmuje małżeństwo nauczycieli, ale nic to – radość ze spotkania jest niezmierną.

Rankiem na centralnym placu wsi, naprzeciwko naszego domu zjawia się feldwebel i głośnym wrzaskiem ogłasza zbiórkę do pracy. Ciotka Nina, młodsza siostra Mamy wychodzi z domu i cała kolumna rusza do budowy umocnień w pobliżu wsi. Wracają dopiero późnym popołudniem. Na obiad zsiadłe mleko z ziemniakami zjada kilkanaście osób zgromadzonych wokół stołu. Ziemniaki jemy ze wspólnego półmiska, tocząc z chłopcami wesołe bitwy na łyżki. Chłopcy, trochę ode mnie starsi, zapowiadają, że wieczorem przyjdzie w odwiedziny Niemiec i pokaże jak z karabinu wyskakują kulki. Rzeczywiście wieczorem przychodzi zażywny żołnierz i chłopcy natychmiast ładują mu się na kolana. Patrzę osłupiały, jak można tak się fraternizować z wrogiem! „Wróg” jest zapewne ślązakiem lub poznaniakiem zwerbowanym do Wermachtu bo toczy swobodnie rozmowy z dorosłymi. Sensację wzbudza wiadomość, że jego syn jest oficerem, pokazuje nam zdjęcie, i musi swojemu synowi salutować i stawać przed nim na baczność. Wreszcie ku naszej uciechu, bierze do ręki swojego Mausera i szybko ruszając rączką zamka powoduje, że naboje wyskakują na wszystkie strony.

Powoli kończy się jesień i zaczyna zima. Wielkie bajoro noszące nomen – omen nazwę kał, zamarza i zamiast służyć do napojenia wracających z pastwiska krów, staje się teraz ślizgawką dla wiejskiej dzieciarni. Prawdziwych łyżew oczywiście nikt tu nie ma, ale pomysłowość dzieciaków nie zna granic. Niektórzy, rozpędziwszy się przejeżdżają ślizgawkę na podkówkach, odpowiednio przekrzywiając stopy. Inni mają przycięte w trójkątny profil klocki zaopatrzone od spodu w stanowiący płożę drut przywiązane rzemykami do butów. Reszta po prostu ślizga się na butach. Pełno radości i wojny jakby nie było. Wujek co prawda wspomina, że całkiem blisko, w okolicach Stopnicy toczyły się ciężkie walki i Rosjanie stracili tam wiele czołgów, ale na razie jest spokój. Przygotowujemy ozdoby choinkowe a rolę choinki pełni okazały, rosnący w donicy, oleander.

W lasku na Bielanych był niewysoki wał ziemny. Kończył się dość łagodnym zboczem i chodziliśmy tam zimą z Ewą zjeżdżać na sankach. Dzieci było bez liku i wrzawa rozlegała się po całym lasku. Ewa ustawiała sanki na szczycie zbocza, sadzała mnie przed sobą i donośnie wołała Toruuuu! Toruuuu! Po czym pędziliśmy w dół z szumem w uszach i łzami w oczach. Niedawno pokręciłem się po tamtych okolicach i odnalazłem ten wał. Po moich górskich przeżyciach nie wydawał się już imponujący

Mama dostaje skierowanie do pracy w lokalnej szkole. Sąsiedzi – nauczyciele czują się chyba zagrożeni, bo robią różne drobne złośliwości. Szkoła składa się z dwóch izb i cztery klasy podzielone są między nie. Siedzę przy sklejkowej ścianie i przez dziurkę kontaktuję się z moim kuzynem Marianem. Nauczyciel siedzi na katedrze a zaufany uczeń chodzi z jedynym elementarzem po klasie i każe wybranym uczniom przeczytać zaznaczone paznokciami słowo. Czytanie idzie na ogół słabo co budzi moją niewczesną wesołość bo ja przecież już swobodnie czytam książeczki dla dzieci. Na dodatek do księdza katechety odzywam się „proszę Pana” co budzi wśród uczniów powszechne oburzenie. Oburzenie nie trwa na szczęście długo bo jak taki obcy, z Warszawy może umieć się zachować. Nie pamiętam za co dostaję od swojego nauczyciela dwóję. Pocieszam się, że na początek to nieźle, Mama zaciska zęby ale z perspektywy czasu sądzę, że były to właśnie te drobne złośliwości.

Lato. Wszystkimi drogami prowadzącymi z miasta ciągnęły wojskowe pojazdy. Zapanowało powszechne podniecenie. W ogródkach przy naszym szeregowcu pojawił się przytulony do ściany i przykryty ściętymi gałęziami czołg. Będzie gorąco, ktoś powiedział. Ale ruch ustaje i czołg znika. Cisza przed burzą?

Drogą wiodącą przez wieś na zachód zaczyna się ruch. Ciągną wozy konne i ciężarówki. Jeden z wozów ma zamiast tylnego koła ukośną belkę podpierającą oś. Wypatrzyłem przedziwny pojazd mający przednie koło od motocykla i gąsiennice z tyłu. Na podwórko zajeżdża ciężarówka ciągnąca działko przeciwlotnicze. Zenitówkę, jak się mówi. Żołnierze zeskakują z samochodu, chwytają za łopaty i szybko wykopują dla niego schronienie. Wieczorem odjeżdżają. Drogi pustoszeją i rankiem na podwórko zajeżdża kuchnia polowa. Żołnierze w czarnych płaszczach przykrytych białymi chałatami i pomazanych białą farbą hełmach wprowadzają konie do stodoły i walą się spać. Towarzyszący im owczarek gdzieś znika. Wieczorem zaprzęgają konie do dalszej drogi ale psa nie ma. Wreszcie znajduje się ukryty w kącie pod łóżkiem. Na żadne nawoływania nie reaguje i wreszcie gdy żołnierz wyciąga go stamtąd próbuje go ugryźć. Dorośli komentują: widać pies już wie, że Niemcy wojnę przegrali.

Siedzimy stłoczeni w murowanej piwniczce pod naszym domem. Z góry dochodzą odgłosy strzelaniny. Ewa musi zrobić siusiu więc wrywa się do wygodki ukrytej pomiędzy stodołami. Wrócić już nie może, bo noc przecinają wszędzie smugowe pociski. Tu i ówdzie zapalają się słomiane dachy. Rano bitwa ucicha i we wsi są już Rosjanie. Babcia twierdzi, że dzięki jej modlitwom wiatr się odwrócił i spłonęła inna połowa wsi. Na podwórze wjeżdża oblepiony żołnierzami mały samochód pancerny. Siedzący na masce żołnierz woła do Ciotki sprzątającej mu z drogi porozrzucany po podwórzu dobytek; Priamo! Priamo! Czy to znaczy w prawo? Pytam Mamy. Nie w prawo to prawo a w lewo to lewo. Priamo znaczy prosto. Znaczy się, język podobny. Na klepisku zastępującym w kuchni podłogę rozścielono słomę na której śpią pokotem żołnierze. Skręcają z machorki i strzępów gazet koślawe papierosy. Mama rozmawia z nimi po rosyjsku. Wszyscy są zachwyceni. Opowiadają jak to w jakiejś ogródkowej piwniczce schował się Niemiec i Rosjanie go zabili gdy się tylko pojawił. Wzdłuż drogi prowadzącej na zachód leżą trupy Niemców szybko obdzieranych z mundurów – ludzie nie mają się już w co ubierać.

Pojawiają się cywile zaopatrzeni w biało-czerwone opaski i niemieckie karabiny. To nowa milicja. Ich głównym zadaniem jest pilnowanie wioskowego aresztu. Pojawia się również jakiś krewniak ubrany w świeżutki drelich z gwiazdkami na ramionach. Pokazuje mi swój pistolet i nawet, po wyjęciu magazynka pozwala mi z niego „strzelić”. Przyjeżdża jakimś czerwonym samochodem Stryj Mietek by zabrać nas do łodzi, gdzie znalazł dla rodziny mieszkanie. Mieszkanie na Bielanych nie jest zniszczone ale nie ma tam już dla nas miejsca. Ja mam wysoką gorączkę i nie ma mowy o wyjeździe. Ostatecznie tym czerwonym samochodem wyjeżdża Ewa a ja z Mamą musimy czekać mojego wyzdrowienia i następnej okazji do wyjazdu.

Tym razem przyjeżdża po nas kryta brezentem ciężarówka. Mościmy się na skrzyni wraz z naszym wiklinowym kufrem i ruszamy w drogę żegnani przez domowników. Najpierw gruntową drogą rozjeżdżoną przez wojskowe pojazdy, dalej mniej lub więcej dziurawą asfaltową. Wstęga szosy wyjeżdża spod ciężarówki i układa się za nami w pagórki i zakręty. Mijamy wsie i miasteczka, niektóre zniszczone, Na polach widać od czasu do czasu spalone czołgi i rozbite ciężarówki. Po wielu godzinach wjeżdżamy do wielkiego miasta. To Łódź. Mijamy ulicę za ulicą i wreszcie wjeżdżamy do ogrodu na końcu którego stoi okazała willa. Będziemy mieszkać w jednej połowie. W domu mieszka już Babcia Bronia, dość szorstko mnie traktująca. Dom był własnością jakichś niemieckich architektów i pełno w nim albumów ze zdjęciami antycznych rzeźb. Babcia zabiera mi je jednak, ponieważ rzeźby przedstawiają nagie kobiety. Mogę za to do woli wertować

egzemplarze Motor rundschau pełne ciężarówek, samochodów pancernych a nawet tego dziwnego motocykla na gąsiennicach jaki widziałem w Szańcu. Stryj, za sprawą którego znaleźliśmy się w Łodzi jest jakimś przedstawicielem nowej władzy i tylko od czasu do czasu przyjeżdża do Łodzi służbowym mercedesem. Na dodatek dom strzeżony jest cały czas przez dwóch wojskowych wartowników uzbrojonych w małe, włoskie karabinki. Jeden z nich pozwala mi nawet z takiego karabinu wystrzelić ślepym nabojem. Stryj uczy mnie, jak należy obsługiwać radioodbiornik ale Babcia po jego wyjeździe zabrania mi tego urządzenia dotykać. W efekcie Pani Stasia z ulicy przynosi wiadomość, że wojna się skończyła i ku zdumieniu domowników zrywa z okien czarne papierowe rolety.

Mama znowu pracuje w szkole a i ja trafiam do tej szkoły na czas wystarczający by dostać świadectwo ukończenia pierwszej klasy. Miasto nie jest zniszczone wojną, po ulicach jeżdżą elektryczne tramwaje a nawet odbywam wycieczkę do ZOO, w którym wielka papuga po otrzymaniu jakiegoś smakołyku odpowiada danke! Trafiam również z Ewą do kina przykrytego wielkim namiotem w którym zobaczyłem pierwszy w życiu film. Słonia w ZOO nie ma ale ja już jednego słonia w życiu miałem. Był niewielki, drewniany na kółkach. Na osi umieszczone było zębate kółko od zegarka i kawałek zegarkowej sprężyny, która podczas jazdy wydawała zgrzytliwe dźwięki. Powstał problem nadania słoniowi imienia. Mama z Ewą odmówiły nadania imienia więc musiałem zrobić to samodzielnie. Ku lekkiemu zdumieniu domowników ochrzciłem go imieniem Jądzeryk. Problem był taki, że za nic nie mogłem tego imienia zapamiętać i co chwila wołałem: Mamo! Jak ma na imię mój słoń? Teraz, gdy żona zadysponuje mi zakup pięciu sprawunków to zapominam o pierwszym, ale imię mojego słonia tkwi mi mocno w pamięci.

Pierwszy w życiu film zobaczyłem jeszcze na Bielanach. Koledzy Ewy przynieśli projektor i puszczali kawałek taśmy filmowej na której widać było ośmiokołowy niemiecki samochód pancerny i roześmianych żołnierzy na jego pancerzu. Kawałek filmu był krótki więc film był puszczany wielokrotnie tam i z powrotem skutkiem czego pancerka jeździła w przód i w tył aż wreszcie film uległ nieodwracalnemu zniszczeniu.

Jest sierpień. Stryj wysyła nas z Ewą na kolonie. Nie wiem co to znaczy, ale perspektywa podróży budzi ekscytację. Ładujemy się z różnymi larami i penatami na skrzynię wielkiego Studebackera, którego połowa przykryta jest brezentem, przygniecionym dodatkowo beczkami z zapasem benzyny na drogę. Słoneczny dzień, mijamy kolejne wsie, od czasu do czasu spalone czołgi i samochody. W pewnym momencie ciężarówka zatrzymuje się otwartym polu a obok szosy stoją wysokie, betonowe graniastosłupy. Tu była polska granica, mówi kierowca. Jedziemy dalej. Wjeżdżamy w zabudowania przedmieścia, stopniowo coraz ciasniej zabudowane i coraz bardziej zniszczone. Miga tablica z napisem Breslau. Zapada już zmrok a kierowca błądzi wśród wciąż dymiących ruin i zawalonych gruzem ulic. Wreszcie docieramy do hotelu w którym mamy zanoć. Z pod brezentu pojawia się para młodych ludzi, która jak się okazuje, towarzyszyła nam całą drogę. Ewa instruuje mnie, jak dostać się do toalety. Na zasuwce pojawiają się słowa „Frei” albo „Besetzt”. Tego słowa nie potrafię zapamiętać, ale już wiem, że kiedy słowo jest krótkie to mogę do toalety wejść. Kiedy długie muszę zaczekać.

Rankiem ładujemy się znowu do naszego Studebackera i ruszamy dalej. Ruiny zostają za nami. Asfaltowa szosa wije się wśród wzgórz i lasów. Wreszcie przed nami pojawia się wysoki ciemny grzbiet na którym wzniesienie niknie w nisko wiszących chmurach. Jedziemy w jego kierunku. Samochód wyje na niskim biegu i wspina się w górę po ciasnych zakrętach mijając malownicze, zaopatrzone w oszklone werandy pensjonaty. Wreszcie wjeżdżamy na otoczony roślinnością plac przed okazałym budynkiem z którego wybiega gromada młodszych i starszych dzieci. Wsiadamy. Budynek jest wspaniały. W holu jest nawet ręcznie sterowana winda. A na

wysokiej ścianie widnieje malowidło przedstawiające wielki wymyślny pałac otoczony wspaniałym ogrodem. Pensjonat nosi trudną do zapamiętania nazwę Sanssouci i okazuje się, że pałac na ściennym malowidle także się tak nazywa.

Nasza Mama pojawia się na krótko i znów odjeżdża. Zajęta jest organizacją szkoły w Karpaczu. Bo okazuje się, że zamiast niemieckiej nazwy Krumhuebel miast nosi teraz nazwę Karpacz. A górna jego część zamiast Brueckenberg nazywa się teraz Bierutowice na cześć nowego prezydenta Polski. Pewnego dnia tą asfaltową szosą, w wojskowym szyku wmaszerowuje duża grupa młodych ludzi, umundurowanych i śpiewających marszowe piosenki. To przywieziona z Zakopanego Szkoła Orłąt Grunwaldzkich. Część tych Orłąt jest uzbrojona w różnorodną broń palną. Od tej chwili wszystko się zmienia. Starsi zajmują dzisiejszy Orlinek i Ewa, jako ta starsza tam się przenosi. Młodszy, w tej liczbie ja, zostają rozlokowani w stojących na końcu Bierutowic pensjonatach Brot Baude i Hubertus. Zostają ulokowani na piętrze Hubertusa, w pokoju z pochyłym sufitem. W połowie października rusza szkoła. Mamy do niej daleko bo mieści się w trzech drewnianych domkach w pobliżu Orlinka, przy ulicy noszącej dzisiaj nazwę Olimpijska. Pytają mnie, do której klasy mam chodzić. Czy ja wiem. Niby do pierwszej klasy chodziłem ale na raty, po trochu i coraz to do innej. Zgłaszam się nieśmiało do pierwszej. Kryterium wieku jest bezużyteczne bo jest sporo starszych dzieci, które nie miały możliwości chodzenia do szkoły. Podczas kolejnej wizyty w Karpaczu Mama przenosi mnie do drugiej.

Wiosną Mama na dobre osiada w Bierutowicach. Mieszkamy na pięterku Jodełki, małego pensjonatu leżącego naprzeciw Brot Baude. Szkoła dla młodszych dzieci zostaje ulokowana w jednym ze skrzydeł parafialnego domu koło kościoła Wang. Wkrótce też przenosimy się do mieszkania w budynku stojącym na zapleczu tego parafialnego budynku. Do szkoły robi się bardzo blisko – przez podwórze. W następnym roku jednak szkoła zostaje przeniesiona do bardziej odpowiedniego budynku, w którym jak się okazało, mieści się do dzisiaj. Przynajmniej mam do szkoły z górki. W tym mieszkaniu, ogrzewanym kaflowymi piecami mieszkamy do czasu, gdy po kolei wynosimy się w wielki świat. To koniec naszej długiej podróży którą nazwałem tutaj exodusem.